

Katarzyna Nowak-Szelejewska

Fragmenty

Pierwsza miłość cioci Tusi

Ciocia Tusia, kiedy zakochała się po raz pierwszy, już pracowała w sklepie, a przed nią była zaplanowana przyszłość. Tamten mężczyzna miał na imię Tomasz, pojawił się w jej życiu niespodziewanie, choć czekała na niego, ponieważ już od jakiegoś czasu wypatrywała miłości i chciała uwierzyć, że był jej przeznaczony.

Uśmiechał się czule i radośnie. Był przystojny i wysoki, a do cioci odnosił się z nieskrywaną namiętnością.

Spodziewano się po nich, że szybko wezmą ślub, założą rodzinę i będą żyli razem po kres swoich dni. Zresztą wszystko na to wskazywało. On miał dobrze płatną pracę, więc ona mogłaby zrezygnować z prowadzenia sklepu. Być może zechciałaby zatrudnić kierownika czy kogoś w tym rodzaju, kto odpowiadałby za wszystko i przynosiłby cioci dochody. Kiedy szli obok siebie ulicą, tak byli zakochani, że unosili się co jakiś czas nieznacznie nad ziemią. Nigdy wcześniej nie widziano cioci tak szczęśliwej.

– Musisz o mnie zawsze pamiętać – powiedziała do niego ciocia Tusia, kiedy postanowiła się z nim rozstać. – Nie wolno ci o mnie zapomnieć.

Jak mógłby o niej zapomnieć?

Przestał jednak przychodzić do sklepu cioci, a po jakimś czasie wyjechał z miasta. Ciocia wspomina o nim z pewną nostalgią i żalem, jakby musiała się upewnić, że wtedy podjęła słuszną decyzję. Zazwyczaj wraca do niego pamięcią, kiedy jej się przyśni.

– Myślisz, że i on śni o mnie? – pyta mamusię i ciocię Hełę, a one, choć już są dorosłymi kobietami, uśmiechają się z rozmarzeniem i przytwarzają jej, że tak, że na pewno i ona wraca do niego w snach.

– Nie chciałabym go spotkać naprawdę – podkreśla ciocia Tusia – ale w snach to coś innego. Ciągłe siebie widzimy, jakby nic innego nie istniało. Gdyby teraz pojawił się w mieście, nie mogłabym mu popatrzeć w oczy. Ale on o tym wie i na pewno nie wróci.

Sny cioci Tusi o jej pierwszej miłości wzbudziły we mnie pewne podejrzenia. Zaczęłam myśleć o mamusi – kto był dla niej pierwszej miłością – i musiałam zrozumieć,

że istniała ona kiedyś beze mnie, że był taki czas, kiedy nie była moją matką, tylko kimś innym, a skoro kimś innym, to zapewne i teraz tak bywa – że jest istotą oddzielną ode mnie. To odkrycie wywołało we mnie wiele przykrości. Próbowałam ją podglądać, jaka jest, kiedy mnie nie widzi. Kiedy zdarzało jej się w ciągu dnia usnąć na kanapie w salonie, podchodziłam do niej tak cicho, jak potrafiłam, nachylałam się nad twarzą i śledziłam jej sny. Wszystkie natychmiast rysowałam, bo tylko w taki sposób byłam w stanie je pojąć.

Sny mamusi musiałam kreślić grubymi, ciężkimi kredkami. Wywoływały we mnie paraliżujący strach, tak jakbym nigdy nie chciała ich zobaczyć. Wtedy zastygałam z ręką zawieszoną nad kartką. Ale tylko na chwilę, bo coś innego zwyciężało we mnie, jakaś nieposkromiona ciekawość i zazdrość, która musiała poznać do samego końca przedmiot swojego pożądania.

Mamusia śniła szalone przygody. Ujeżdżała dzikie konie. Uciekała w karocy objijającej się o krzywy bruk traktu wiodącego przez las. Dowodziła wojskami, jak przystało na królową. Była więziona, ale zawsze ktoś ją ratował. Rozstrzygała spory. Uczestniczyła w kampanii wrześniowej. Hodowała stada krów w odległych górskich wioskach. Wędrowała pustynnymi szlakami i odpoczywała w gęstych cieniach drzew.

I nigdzie mnie nie było.

Nie znajdowałam siebie w snach mamusi. Byłam smutna i zła. Kiedy tylko mogłam, manifestowałam w stosunku do niej swoją niezależność. Sypiałam na parapetach okien, wbiegałam w sad, żeby zniknąć pomiędzy liśćmi, protestowałam przeciwko pocałunkom, choć nie potrafiłam jeszcze zrezygnować z tego na dobranoc, rysowałam jak szalona, rysowałam siebie bez niej, siebie dorosłą kobietę, siebie zakochaną bez pamięci, siebie w gronie przyjaciółek, siebie w pracowni malarskiej i dopiero tam pozwalałam przycupnąć mamusi, starej i pomarszczonej, przyciskającej bezradnie do piersi torebkę na widok moich obrazów, na których jej nie ma.

Chciałam się zemścić. Chciałam jej za wszelką cenę pokazać, że i ja potrafię być odrębna od niej. Skąd mogłam wiedzieć, że tak właśnie ma być? Nie przeszło mi przez myśl,

że ten wybuch, ta namiętność brała się ze mnie, a nie z niej. Pochłaniały mnie fantazje o byciu przez nią porzucaną, przez co odsuwałam się od niej i zaczynałam widzieć, że jest coraz więcej w moim świecie miejsc bez niej. To była moja pierwsza tajemnica. Nie mówiłam jej o tym, co widzę, a niektóre rysunki chowałam.

W swoim pokoju miałam dużą szafę, wypełnioną ubraniami i zabawkami. Na jej dnie, pod wiszącymi płaszczkami i kurtkami, urządziłam skrytkę. Rysunki chowałam do pudełka po tatusiowych butach, ponieważ było na tyle duże, że nie zaginały się w nim rogi kartek. Przykrywałam je kocem i czasem na nim siadałam. Zamykałam drzwi szafy i zostawałam w ciemnościach razem z moimi rysunkami, które sprawiały, że się nie bałam.

Dopiero tam byłam w stanie wyobrazić sobie pierwszą miłość cioci Tusi. Aż coś piekło mnie w brzuchu z przejęcia. Wyobrażałam sobie miłość większą niż miłość do mamusi. Miłość, na rzecz której ją porzucałam, żeby mogła się zesterzać i pomarszczyć, bo dopóki była moją mamusią, najważniejszą osobą na świecie, musiała pozostawać młoda i piękna, energiczna, rządząca się, mściwa i żądna uwagi.

Ciocia Tusia, tamtego dnia, kiedy była z nim po raz pierwszy umówiona w kawiarni, ubrała czerwoną sukienkę w kwiatki, a on tak się zachwycił na jej widok, że uronił kilka łez. Taką ją potem niósł w swojej pamięci przez całe życie – szczupłą, zgrabną, zalotną, niewinną. Usiedli przy niebieskim stoliku, ciocia zamówiła filiżankę czarnej kawy, kelnerka potknęła się i kawa rozlała się na tacy. „To na szczęście”, powiedział Tomasz, a ona w końcu odważyła się na niego spojrzeć. Od tamtej pory była w nim tak zakochana, że nie przestawała na niego patrzeć. Tak oto stała się z nim jednym ciałem i jedną duszą. Filiżanka była biała i prosta, na talerzyku podano jeszcze cukier i miniaturowe ciasteczko. Ciocia cała drżała, kiedy unosiła filiżankę do ust. Tamta chwila rozciągnęła się, objęła jej pierwszą miłość i miała się nigdy nie skończyć. Jeśli kiedyś jeszcze przyjdzie cioci po raz drugi przeżyć swoje życie, to nie odłoży tej filiżanki na talerzyk, nie wstanie od stolika i nie pożegna się z Tomaszem. Będą tam siedzieć aż do kolejnej śmierci, będą siedzieć i wpatrywać się w siebie, bo już będą wiedzieli, że nic innego w życiu nie miało sensu.

A ja, w swojej ciemnej szafie, nie przestanę tkwić w złudzeniu, że nic nigdy nie ma końca, ponieważ każda śmierć jest śmiercią na niby. Ciało znika, ale wystarczy zamknąć oczy, żeby na powrót przywołać je do życia. „To nie ma końca”, mówiłam jeszcze, zanim wyszłam z szafy.

Tamten chłopiec

– Tamten żydowski chłopiec – powiedziała mamusia, nachylając się nad stołem i patrząc intensywnie przybliżonymi oczami w oczy cioci Heli i cioci Tusi – mógł zostać bratem naszej matki, którego nigdy nie miała.

Moja prababka, choć chciała, nie przygarnęła tamtego chłopca i prawdopodobnie nie ocaliła go przed śmiercią. Udało jej się przez jedną noc zatrzymać go za piecem chlebowym, wręcz wpakować do tego pieca. Przeszedł z jednego dołu w drugi dół. Z dołu trupiego w dół chlebowy.

– Dół obfitości – komentowała zazwyczaj tamtą noc ciocia Tusia.

– Prababka była tak dobra, że gdyby tylko mogła, schołaby go przed wojną we własnym brzuchu – dodawała ciocia Hela.

Zamilkły.

Nie widziały go nawet na zdjęciu, a jednak poszukiwały rysów jego twarzy na każdej fotografii z dawnych lat. Widywały go także w snach, zawsze skulonego, głowa ukryta w ramionach, plecy okryte czarną jak smoła koszulą i nogi tak mocno podciągnięte pod brzuch, jakby został ich pozbawiony.

– Odziedziczysz po nas ten sen – grzmiały ciotki nad moją głową, a potem przeglądały w nerwach moje rysunki, jakby liczyły na cud, na to, że po tylu latach wyciągnę go z pamięci.

– Ktoś musi w końcu go ocalić – wzdychała nade mną mamusia, pokładając nadzieję nad nadziejami w moich rysunkowych zdolnościach. Czyż tatuś nie powtarzał co dzień, że jestem wyjątkowo utalentowanym dzieckiem, obdarzonym ponadprzeciętną intuicją? Dlaczego więc i ona nie miałyby sobie rościć do niej prawa? Dlaczego nie skorzystać z tego daru, który z niewiadomych przyczyn spłynął na mnie, i nie porozdzielać go pomiędzy wszystkich złaknionych, wygłodzonych, umarłych?

– Wszyscy we wsi słyszeli, jak do nich strzelano, choć zrobiono to w gołym, wietrznym polu, wczesną wiosną, kiedy ziemia była rozmokła i w szale rodzenia – przypomniała ciocia Tusia, chwytając niezgrabnie za uszko filiżankę. Siorbnęła i wzdrygnęła się nagle, jakby przebiegł jej po plecach chłodny wiosenny wiatr.

– Miał osiem lat i go nie rozstrzelali, a przecież myśleli, że tak właśnie było. On nie potrafił tego wyjaśnić i ja też dzisiaj nie umiem. – Ciocia Hela okryła się szalem, bo i jej zrobiło się chłodno. – Tu jest przeciąg – dodała

oskarżycielskim tonem, ale mamusia nie zareagowała i nie pobięła sprawdzać, czy gdzieś przypadkiem nie została otwartych okien, tak niebezpiecznych, jeśli chodziło o zdrowie jej sióstr.

– Kiedy wszystko przysypali i kiedy usłyszał, że ich nie ma, zaczął się przekopywać przez trupy i przez ziemię – zaryzykowała przypuszczenie mamusia, bo nikt nie wiedział, jak było naprawdę.

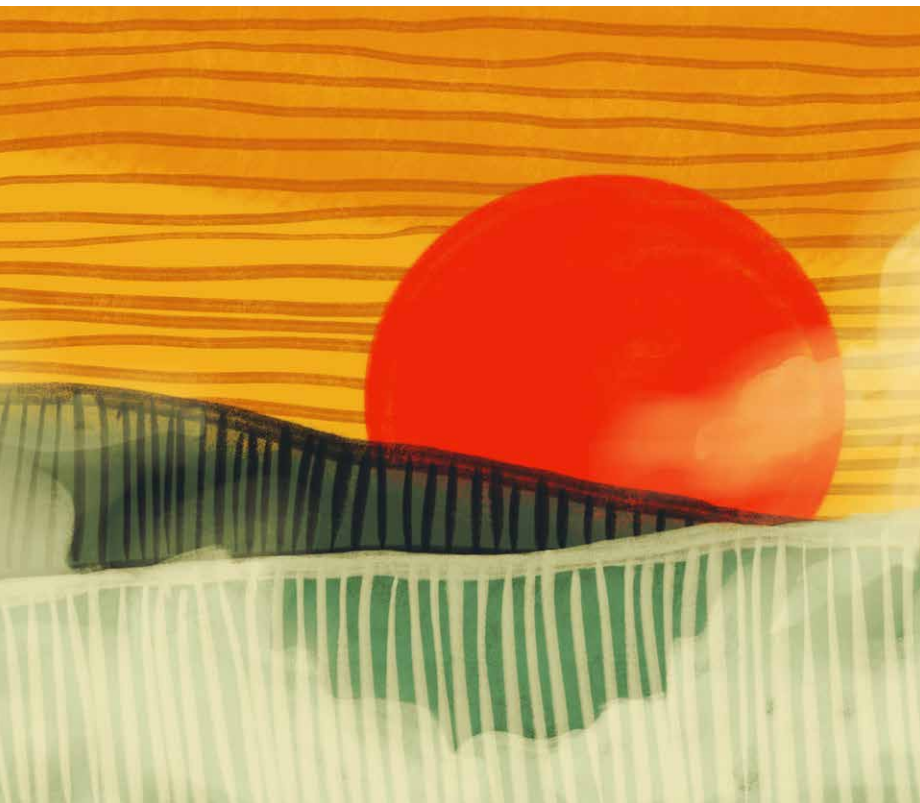
– Przebudził się, bo gdy upadał w dół, uderzył się w głowę i stracił przytomność. Miał czym oddychać, ale była to marna pociecha. Zostały tylko twarze. Porozrzucane kończyny przypominały mu korzenie drzew. Po nich wspinał się w górę, a choć było tak ciemno, jak musi być ciemno w ziemi, wszystko widział, najmniejszy wykrzywiony palec, pogniecioną spódnicę, dziurawą marynarkę zasłaniającą dziurawe plecy, schodzone buty, których nie było żal zostawić na śmierć. Metalowe sprzączki wbijały mu się w stopy, bo sam od dawna chodził bez butów. Gdyby znalazł się na samym dnie, nie zdołałby się wspiąć. Ale był w połowie. Może nawet wyżej. Ci nieporządni Niemcy, ci niechluj, leniwi kaci, nie przysypali dołu ziemią, jak być powinno,

jak należało. Opili się bimbrem, który regularnie dostawali od chłopów. Opili się i z ziemi wystawały ręce i nogi, obnażone brzuchy, zmarszczone czoła i nieopadnięte powieki. Nie myślał o nich, kiedy się wspinał. Co chwilę przysawał, żeby nasłuchiwać czyjegoś oddechu. Słuchał i słuchał, ale to były tylko korzenie roślin i trawy, pulsowały życiem i szykowały się, żeby na powrót zawiadnąć tym kawałkiem ziemi. Kiedy był już blisko powierzchni, zrozumiał, że nikt nie oddycha, i się poddał. Zacisnął powieki tak mocno, jak mógł, i zaczął napychać sobie buzię ziemią. Przelykał grudę za grudą, a każdą nasiąkniętą krwią, i gdy już wydawało mu się, że umiera po raz drugi, coś w nim drgnęło. To dłoń drgnęła. Ona jedna kazała mu się bronić, ponieważ tą dłonią rzeźbił różne rzeczy w drewnie i ojciec powiedział do niego: kiedyś będziesz wielkim artystą. Posłuchał głosu ojca i wspiął się na samą górę, aż przebił palcami warstwę ziemi i poczuł na niej zimny powiew wiosennego wiatru – opowiadała prababka, która przeżyła swoją śmierć.

Mamusia i ciocie za każdym razem słuchały jej z zapartym tchem, jakby to była nieznaną im opowieść. Częstoowały prababkę herbatą i ciasteczkami. A ona nie odmawiała.

Lubiła te kruche, napełnione marmoladą z róży, lubiła też czekoladowe i nie mogła się nadziwić, jak szybko czekolada rozpływała się w ustach. Zawsze przychodziła bardzo elegancko ubrana, zawsze z dużym brzuchem, w którym siedział tamten chłopiec, powiedziawszy uprzednio jej wszystko, co miał do powiedzenia.

– Przyszedł do mnie nocą, przyszedł i wszedł do pieca, a ja pozwoliłam mu tam zostać, bo obydwoje wiedzieliśmy, kim był i że właśnie wyrwał się śmierci oraz że nie wolno mu pomagać pod żadnym pozorem. Nakarmiłam go wszystkim, co miałam, ale on nie chciał jeść. Pochował chleb i kapustę po kieszeniach. Siedział w tym piecu, siedział całą długą noc, aż przyszedł świt i do chaty wszedł sołtys. „Oddajcie tego chłopca”, powiedział. „Oddajcie go, zanim będzie za późno. Oddajcie go, głupia babo, bo Niemcy spalą wieś. Oddajcie go, bo choćbym miał go wyciągnąć wam z brzucha i najpierw rozpruć ten brzuch, zrobię to”. Skąd wiedział, gdzie go szukać? Czy wyczytał to z moich



Martyna Kwaśniewska / PLSP w Supraślu

oczu? Gdybym tylko wiedziała, zacisnęłabym powieki i powiedziała mu, że zachorowałam na oczy. Otworzył drzwiczki od pieca chlebowego i wyciągnął go za głowę, ciągnął i ciągnął jak przy porodzie, a tamten chłopiec się nie zapierał, bo nie miał o co. Wyciągnął go i wyniósł z chaty. Splunęłam za soltysem po wielokroć. I przeklełam go tak, że umarł rok później, przyszli inni Niemcy i rozstrzelali go za ten bimber. Śmierć za śmierć. Tfu!

Czekały wszystkie, kiedy narysuję jego twarz. Bo nawet prababka miała jej nie widzieć.

– Wszystko ją zasłaniało: noc, ziemia, krew, piec i soltys – tłumaczyła się i mamusia i ciotki jej wierzyły, ale nie ja. Usta lekko jej drżały przy tym kłamstwie. Ach, jak bardzo nie chciała się z nikim dzielić jego twarzą, jak chciała zachować ją tylko dla siebie!

– Przecież nie rozpruję jej brzucha – zwierzyłam się pewnego razu mamusi i ciociom.

– Ależ, kochanie, komu nie rozprujesz brzucha? Co opowiadasz?

– Jej. – Wskazałam palcem w nieokreślonym kierunku.

Nie musiałam powtarzać ani niczego im wyjaśniać. Zrozumiały i przestały ją przyjmować na swoich podwieczorkach. Przestały z nią rozmawiać, ale nie mogły zaprzeczyć, że ta historia się wydarzyła i że ich pamięć jest tak bardzo nią nasiąknięta, że już nie wyobrażały sobie bez niej życia.

– Więc zamknij mocno oczy – poprosiła mamusia – i zobacz, jaka ona jest. Jaka jest twarz tamtego chłopca w ciemnym brzuchu twojej prababki.

Łyżka

Dawno temu mamusia zakopała w ogrodzie skarb. Była to łyżka jej ojca z obozu głodowego pod Jasłem. Przyniósł ją pod osłoną nocy i nic więcej nie powiedział.

Mamusia nigdy nie pozwoliła mi jej odkopać, ale nie mogła wiedzieć, że poznawszy jej tajemnicę, nie zdołałam oprzeć się pokusie i wydobylam na światło dzienne tę właśnie łyżkę, aby przyjrzeć się jej w pobożnej zadumie. Została wytłoczona z aluminium i przetarta na wszelkie możliwe sposoby. Dziadek chciał się jej pozbyć, ale w gruncie rzeczy nie był w stanie o niczym zapomnieć i tę pamięć przekazał najpierw mojej mamusi, a potem mnie.

Pamięć o głodowej łyżce dawała o sobie znać przede wszystkim w snach, co nie mogło mnie dziwić, jako

że dziadek pod osłoną nocy wraz z łyżką opuścił obóz i śniąc na jawie, wrócił do domu, gdzie już nikt nie spodziewał się go zobaczyć ani żywym, ani martwym. O licznych niedo-godnościach i przygodach, na które był narażony podczas tej nocnej eskapady, opowiadał niechętnie i powściągliwie. Nie wiedział też, dlaczego wyniósł ze sobą łyżkę, choć wyda-wało mu się to zupełnie naturalne, jednak nie rozwiązywało kwestii jej dalszych losów, gdyż łyżka tak naprawdę nigdy nie należała do dziadka, została mu jedynie przekazana na poczet życia obozowego.

– Moja jedyna rekompensata – powiedział kiedyś, a mamusia natychmiast zapamiętała te słowa i przez nie wła-śnie zaczęła traktować łyżkę jak skarb.

Jej gładkie wnętrze napawało ją ekscytacją i smutkiem. Dotykała łyżkę delikatnie, z uwagą, jakby nie dowierzała jej aluminiowym właściwościom i obawiała się, że roz-pierzchnie się jak płatki sadzy.

Po śmierci dziadka natomiast schowała łyżkę do dREW-nianego pudelka i zakopała w ogrodzie. Od tamtej pory nie chciała na nią patrzeć, choć przez sen nieraz zdarzało jej się opowiadać o obozie głodowym pod Jasłem i jadło-spisie, który serwowano więźniom. W ciągu dnia nie miała wątpliwości co do jego podłej jakości, jednak nocą śniła wykwintne uczyty, mięsiwo tłuste i smażone, torty nadzie-wane lodami i więźniów tak otyłych, że ledwo co przeci-skali się przez drzwi baraku i na placu obozowym wywracali się na twarze nie z głodu i zimna, ale z powodu ogrom-nych brzuchów, które sprawiały, że nie byli w stanie ustać na baczność.

Łyżkę w ogrodzie mamusia zakopała nocą. Podglądałam ją przez uchylone firanki, nękana poczuciem winy po śmierci dziadka. Już wtedy miałam pewność co do jego pamięci o obozie we mnie, więc wiedziałam, że w jakiejś odległej przyszłości to ja przejmę pieczę nad łyżką, zamiast mamusi wyciągnę ją z drewnianego pudelka i pogłaszczę czule, jakbym głaskała wygłodniałe palce mojego dziadka.

Nie postępując w zgodzie z tradycją, odkopałam łyżkę znacznie wcześniej i w ciągu dnia, nie zaś pod osłoną nocy, jak miało to wszystko w pierw miejsce. Łyżka, która zapamiętała szorstki dotyk dziadkowego języka, błysnęła na chwilę w słońcu i zgasła. Tatusz zawołał mnie na obiad. Chwyciłam łyżkę i pobiegłam z nią do jadalni, a ponie-waż pamięć tatusia nie była pamięcią obozową, niczego nie zauważył i beztróskim ruchem podsunął mi talerz z zupą. Nabrałam na łyżkę zupę i ułożyłam ją na języku.

Jeden raz, drugi i zupa zapachniała zatechłymi kartoflami. Im więcej jadłam, tym bardziej stawałam się głodna. Jakbym tą właśnie łyżką wykopywała w brzuchu czarny dół, który prowadził na drugą stronę.

Tak więc stąd przeszłam do tamtego miejsca. Z domu do obozu głodowego pod Jasłem.

Zobaczyłam dziadka jako młodego mężczyznę, niezmiernie zatroskanego. Stał na końcu kolejki, która prowadziła do wielkiego zimnego kotła, obsługiwanego przez spuchniętego mężczyznę, zapewne kucharza. Ten młody mężczyzna, mój dziadek, trzymał w jednej ręce łyżkę, a w drugiej menażkę i w nigdy niekończącej się kolejce umierał z głodu. Poznałam to po tej samej czarnej dziurze w brzuchu i zrozumiałam, dlaczego łapczywie spoglądał na zapuchniętego kucharza. Podeszłam do dziadka, chwyciłam go za rękę i pogłaskałam po palcach. Nie zdziwił się, odwzajemnił tę pieszczotę.

– Teraz już wszystko wiesz – powiedział cicho, żeby nie usłyszał go żaden ze współwięźniów.

Nie zależało mi na tym, żeby mu odpowiedzieć, gdyż nie do końca wiedziałam. Nie chciałam go zawieść.

– Chodźmy stąd, dziadku. – Pociągnęłam go za rękę. Drgnął nieznacznie, jakbym nim zachwiała, ale wciąż nie spuszczał z oczu kucharza.

– Nigdy cię nie zapomnę – odparł i zrozumiałam, że mówił do tego mężczyzny, któremu przypadła święta funkcja rozdzielania zupy z kotła i który spuchł od spojrzeń więźniów, zawistnych i błagalnych. Spuchł ponad miarę przyzwoitości, przez co rozrósł się, jakby przybrał na wadze i na tłuszczu, jakby ukradkiem podjadał podczas gotowania i nikt mu nie wierzył, że to tylko puste spojrzenia, wyglądniałe oczy, które przedostały się pod jego powłokę skórną i ją rozděły.

Dziadek znowu się zachwiał, tym razem na mroźnym wietrze, i zapragnęłam opatulić go swetrem, którego ze sobą nie wzięłam.

– Niczym się nie martw – powiedział, kiedy spadły na nasze gołe głowy pierwsze płatki śniegu. – Ta zima minie raz-dwa, ani się obejrzyysz.

Ale nie minęła i wciąż trwała wyglądniała w naszych pamięciach i snach, zawałając je zlogami klujących płatków śniegu. Ciągłe opadały z nieba, wypalając czerwone znaki na policzkach i dłoniach, w tych najbardziej czułych miejscach skóry, i nie znikwały, nie roztopiały się tak, jak Bóg przykazał, tylko zamieniały się w kawałki szkła, twardego i białego, prawie że przezroczystego. Dziadek, który nie umiał

inaczej patrzeć na świat jak przez te szklane płatki śniegu, nauczył tego spojrzenia mnie, mamusię i jej dwie siostry. Jako młody mężczyzna uparł się, że o wszystkim zapomni, ale pamięć działała wbrew jego woli i choć powiedział tylko raz moja-jedyna-rekompensata, nie mógł pozbyć się łyżki, gdyż wciąż nie należała do niego. Najchętniej zwróciłby ją do obozu, ale obóz przestał istnieć, nie został po nim nawet kawałek ziemi, wszystko rozkopano, przekopano i spalono. Został więc do śmierci z tą rozpalającą jego wyobraźnię pamiętką, został wbrew złożonej swojej żonie, a mojej babce, obietnicy, że będzie pamiętał tylko czule chwile.

La Fornarina

Na oddział wchodziło się z przeszklonej windy. Oddziałów nie nazwano wprost tak jak w szpitalach. Klinika miała swoją misję i jednym z jej przejawów było wpływanie na poprawę stanu zdrowia pacjentów poprzez uzdrawianie języka. Tenże język, przynajmniej oficjalny, widoczny na plakietkach, tablicach ogłoszeń, na przyciskach w windach, miał być pozbawiony konotacji medycznych. Miał zmienić sposób kojarzenia pacjentów, poniekąd stworzyć wyobrażenie, że nie są leczeni dzięki pigułkom, narzędziom, fachowym rękóm chirurgów i nie dzięki wiedzy skrupulatnie zdobywanej na uniwersytetach medycznych, ale poprzez sztukę, marzenia senne, przyrodę, siłę woli. „Pacjent jest dla siebie najlepszym lekarzem”, brzmiało dumnie hasło nad jednym z głównych korytarzy. W duchu tej gruntownej przemiany oddziały kliniki miały nazwy fantastyczne, dotykające ukrytego dna, przywołujące na myśl obszary dalekie od choroby, a równocześnie delikatnie o nie zahaczające, trącające chorobę, jakby wykonywano gest miłosny, jakby ją okrywano pozą miłości. Dlatego oddział usuwania piersi nazwano La Fornarina. Wtajemniczeni wiedzieli, jak przemieszczać się pomiędzy tymi nazwami. Stali pacjenci kliniki doskonale rozumieli ten proces leczenia i poddawali mu się rozkosznie, niewinnie.

– Odwiedzimy ciotkę na La Fornarinie – powiedziała matka.

Ja także byłam wtajemniczoną pacjentką kliniki, choć jeszcze nie miałam możliwości korzystania z jej usług. Po raz pierwszy stanęłam przed drzwiami oddziału usuwania piersi w wieku kilku lat. Widniał nad nimi obraz Rafaela Santi przedstawiający prawdopodobnie jego rzymską kochankę, prawdopodobnie cierpiącą na raka piersi z przerzutami

do węzłów chłonnych, która prawdopodobnie zmarła niebawem po śmierci mistrza i której prawdopodobnie nie wpuszczono na jego pogrzeb. Sprytni diagności przeświecili swoimi sprzętami tkanki obrazu i w jego mrocznych warstwach odnaleźli guz nowotworowy. Zuchwale rozgłosili po świecie swoją nowinę, swoją tezę medyczną. Matka uważała, że ten nowotworowy portret zapewne jest jednym z jej przodków, jako że żadnej kobiety w naszej rodzinie nie omijał gen nowotworu piersi. Patrzyła na to w ten sposób: że wszystkie spadkobierczynie tej mutacji genetycznej należą do jednej rodziny, bo kiedyś, w zamierzonych czasach, musiały być spokrewnione, bo ten błąd w materiale genetycznym musiał się zacząć w jednym punkcie czasowym, w jednej kobiecie, w jednej piersi.

Pierwsza siostra matki, ciocia Tusia, zdecydowała się na zabieg usunięcia piersi w wieku trzydziestu dziewięciu lat, zgodnie z wyznaczoną zasadą, że nie należy przekroczyć granicy czterdziestu lat. Kobięca część naszej rodziny od dawna istniała w systemie kliniki oznaczona kodem RQ4597. Byłam tam i ja, ich pacjentka w wieku trzydziestu dziewięciu lat, kiedy zegar wybije swoje, kiedy przyjdzie mój czas. Dzięki grantom badawczym klinika mogła nam zaoferować także rozliczne badania genetyczne dotyczące nowotworów mogących załęgnąć się w innych częściach ciała. Co roku odkrywano nowy wycinek materiału genetycznego, który potrafiło przebadać pod tym kątem i wraz z wiosną stawiałyśmy się w klinice, ja, matka, ciotka Tusia i ciotka Hela, żeby oddać do pobrania krew. Uparcie nie wychodziły inne mutacje, inne zagrożenia, żadnego ryzyka dla żołądka, wątroby, mózgu, tarczycy. Naukowcy sarkali nad nami z niecierpliwością. Czegoś im nie potwierdzaliśmy, czemuś nie zaprzeczaliśmy, obalaliśmy uparcie jakąś hipotezę. Mogliby nas nazwać – z linii nowotworu piersi – ale w swoich papierach pozostawali wierni językom nauki, zaprzeczając leczniczym możliwościom słów.

Odkąd pamiętam, nie mówiłam La Fornarina, tylko oddział usuwania piersi, a matka i jej siostry za każdym razem oburzały się i ganiły mnie. Próbowaly wyprostować dosadne ścieżki mojego myślenia, bo w tej medycznej nazwie, która wszystko odsłaniała, wyczuwały strach, co nie zmieniało faktu, że usunięcie piersi w wieku trzydziestu dziewięciu lat uważaliśmy za naturalną kolej rzeczy. Kiedy oznajmiłam w okresie dojrzewania mojej pierwszej sympatii los, który mnie czekał za kolejnymi zakrętami życia, zapadło wypełnione grozą milczenie. Matka i jej siostry przedstawiły mi wszystko w szlachetnym świetle nauki.

– La Fornarina musiała umrzeć jako młoda dziewczyna, bo ludzie niczego nie wiedzieli o nowotworach piersi i o przebiegłym materiale genetycznym. Wszystkiemu musieli się poddać. My, kobiety z dwudziestego pierwszego wieku, żyjemy w znacznie lepszych czasach. To materiał genetyczny poddaje się naszej woli. Uginamy go, miętosimy, skraccamy, przechytzamy. Zanim zdąży wystawić swoje macki, usuwamy organ, który zamierza zaatakować. Proste i jasne. Bardzo klarowne. Teraz, z usuniętymi piersiami, możemy dożyć stu lat. To jest niewyobrażalna przepaść – my i La Fornarina.

Matka traktowała ten obraz Rafaela Santi jak swoją stryjeczną prababkę. Jego reprodukcja, niewielkich rozmiarów, wisiała w salonie, pośród innych zdjęć rodzinnych. Niczym *memento mori*, ale także zwiastun życia w postaci kliniki, która rozsupływała lęki swoich pacjentów jak guzki na splątanej nitce.

Ciocia Tusia dzień przed zabiegiem odwiedziła nasz dom. Była już u nas także ciocia Hela i razem z mamusią piekły jakieś ciasto na cześć cioci Tusi, na cześć tego doniosłego wydarzenia. Ja musiałam siedzieć przy stole w salonie i jak zawsze w czasie takich uroczystości rodzinnych rysować. Pamiętam tamten rysunek. Wielka ciocia Tusia, na całą kartkę, z dwiema czarnymi kreskami na klatce piersiowej.

– Takie właśnie zostaną mi blizny – skwitowała moje dzieło. – Blizny życia – dodała wzniosłe i uniosła kieliszek szampana. Matka i ciocia Hela uniosły swoje. Delektowały się tamtą chwilą. Ich zwycięstwem nad pozostałymi kobietami z rodziny, które żegnały się z życiem w wieku około czterdziestu pięciu lat. Nad matką, babką, prababką, nad La Fornariną.

Kiedy zaczęły się u mnie pojawiać zawiązki piersi, patrzyłam na nie nieufnie. Patrzyłam jak na chorobę, od której w przyszłości będę wybawiona. Dotykałam je, szukając subtelnych guzków, młodych pnączy, które miały nieopatrnie zawiązać się w śmierć.

– Zostałyśmy raz na zawsze uwolnione od oddziałów onkologicznych.

To prawda, klinika nie przyjmowała pacjentów onkologicznych, uważała ich los za przesądzony, a samych szukających pomocy za naiwnych. Dlaczego nie zgłosili się znacznie wcześniej, dlaczego nie oddali swojego materiału genetycznego do gruntownego przebadania i nie przewidzieli tych okoliczności, w których właśnie się znaleźli? Gdyby przyszli zawczasu – znalazłaby się rada, ale teraz muszą korzystać ze środków znacznie mniej subtelnych,

muszą wyniszczyć swoje komórki, żeby żyć, a klinika takich metod nie mogła pochwalać. Ona traktowała ludzkie ciało jak narzędzie muzyczne. Jak dzieło sztuki i jak twórcę równocześnie. Kto tego nie rozumiał, nie miał czego szukać w zawiłych korytarzach, w efemerycznych nazwach oddziałów. Ten ludzki instrument klinika stroiła, rozumiejąc, że najpiękniejsze melodie zagra on sam, bo znajdzie je w sobie, własnymi zdrowymi, silnymi rękoma.

Swoje piersi traktowałam jak zbytek. Były dla mnie bardzo cenne, ale nie chciałam się do nich przywiązywać. Nauczyłam się bez nich obchodzić. Czasem je ignorowałam. Przyglądając się sobie w lustrze, zamiast nich widziałam czarne kreski.

Klinika oferowała jeszcze jedną ważną możliwość. Wycięte piersi wsadzała do szklanego czarnego pudełka. Po zabiegu, kiedy pacjentka czuła się już dobrze, w asyście pielęgniarki, grabarza i rodziny przechodziła z czarnym pudełkiem na tyły kliniki, gdzie wyhodowano ogród. Ale ogród był tak naprawdę cmentarzem wyciętych piersi. Zajęte miejsca, gdzie pochowano piersi, były oznaczone niewielkimi kamieniami, na których wryto proste nazwy: piersi tej a tej i lata ich życia. Można było wybrać miejsce pod krzewami, przy rabacie róż, pod starym

wielkim drzewem. Chociażby w tym sensie, raz pozostawszy pacjentką kliniki, nigdy się nie przestawało nią być – kobiety przychodziły w odwiedziny do swoich piersi, wyrwały niewielkie chwasty, które zdążyły zakwitnąć poza czujnymi oczami ogrodników, odczytywały litery wyryte na tabliczce lub kamieniu, siadały na ławeczce i wzdychały zachwycone, bo ogród był prawdziwym arcydziełem i chociaż nikt nie potrafił tego wyjaśnić, kwitł także zimą, innymi słowy – nie podlegał rytmom pór roku. Czy to dzięki sokom płynącym z piersi, które użyźniały ziemię? Były przecież wokół kliniki inne ogrody, cmentarze tarczyc, nerek, żołądków, gałek ocznych, krtani, ale kiedy tylko nadchodziła jesień, przysychały, wędlały, karłowaciały i opadały w sen zimy. Ale nie ten ogród, nie cmentarz piersi; i nad tym fenomenem biedzili się ogrodnicy, rozgrzani, ogorzali od nigdy nieodpoczywającego słońca, brali w twarde, spuchnięte od pracy palce grudki ziemi i przyglądali jej się z fascynacją. W końcu przykładali ją do ust, bo rozeszła się pogłoska, że tak jak rośliny tej ziemi nie obumierają, tak ludzie, którzy z tej ziemi wyrastają – nigdy nie umrą.

KATARZYNA NOWAK-SZELEJEWSKA

– psycholożka, psychoterapeutka, pisarka. Została wyróżniona m.in. w konkursie zorganizowanym przez Wydawnictwo Czarne, w konkursie Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania oraz w Międzynarodowym Literackim Konkursie im. Siegfrieda Lenza. Brała udział w warsztatach literackich organizowanych w trakcie Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania oraz Festiwalu Góry Literatury – Fundacja Olgi Tokarczuk. Uczestniczka Pracowni Prozy Biura Literackiego w ramach Pracowni Stacji Literatura 23 w 2018 r. Autorka zbioru opowiadań *Skrzypki* (Białystok 2023). Publikowała na łamach czasopism: „Akcent” (2021), „Tlen literacki” (2021), „Fabularie” (2021) oraz „Twórczość” (2022). W 2021 r. zdobyła Nagrodę Literacką im. Mariana Redwana.



foto: prywatne archiwum autorki



Piotr Falkowski / PLSP w Supraślu